

KLASYKA MNIEJ ZNANA



Józef Korzeniowski

SPEKULANT

universitas

Kopia dla
Kopia dla

SPEKULANT

K L A S Y K A M N I E J Z N A N A

Józef Korzeniowski

SPEKULANT

Kraków

© Copyright by Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków

ISBN 97883-242-1064-0
TAiWPN UNIVERSITAS

Projekt okładki i stron tytułowych
Ewa Gray

www.universitas.com.pl

I

Okolo godziny drugiej po południu, w jasny i mroźny dzień na początku lutego, szedł pieszo młody człowiek, okutany porządną szubą, obwiązany pięknym szalem, z antypką w ręku, ozdobioną bursztynem i czerwonym woreczkiem, a za nim szły bokiem złamane sanie, ciągnione przez dzielną czwórkę w krakowskich chomątach. Popędzał je wąsaty furman, idąc także pieszo, i ocierał ręką, w której trzymał długie biczysko, oczy i wąsy obrastające co moment białym szronem.

Wtem pokazała się na wzgórku Sewerynowka, o sześć mil od Odessy leżąca, i pan August Molicki, obracając się do idącego za nim lokaja Franciszka, rzekł:

– Biegajże, kpie, prędzej i postaraj się o rzemieślnika, który by nam naprawił sanie. Nie opatrzyliście ich w Odessie; teraz ja z waszej łaski muszę iść piechotą, a może tu stać będę ze dwa dni – żeby was diabli wzięli, łajdaki!

Franciszek pobiegł, jak mógł najprędzej, klnąc zapewne w duchu i pana, i furmana, i Odessę, a w pół godziny potem rozgościł się pan August w ogrzanym i dużym pokoju i zrzucając z siebie szubę, ciepłe buty i wszystko to, czym obciążamy nasze ciało w nieszczęsnych podróżach zimowych, kazał sobie przynieść poduszkę i zgrzany i zmęczony rozłożył się na twardej kanapie, która mu się dziwnie miękką i wygodną wydała. – Bo jak głód najlepiej jeść gotuje, tak fatyga najlepiej ściele. Mądrość to prosta; radzi jednak o niej zapominamy. Ale przepraszam za morał, a wracam do pana Augusta.

Pan August był to młody człowiek nowego pokolenia. W roku 1843, w pamiętnej dla niego epoce złamania sanek, miał lat dwadzieścia pięć.

W jedenastym roku życia oddano go do Krzemieńca. Doszedł

tam do klasy drugiej i na tym skończyła się jego publiczna edukacja. Resztę pierwszej młodości przepędził w domu; a gdy go, mającego lat siedemnaście, ojciec odumarł, zaczął rządzić piękną wsią na Podolu, pod okiem kochającej go, ale słabej matki.

Pelen naturalnych zdolności, poduczony cokolwiek przez dawnego krzemieńczanina, który się trudnił guwernerką, wprawiony do pięknej francuszczyzny przez guwernantkę siostry, rodowitą Francuzkę, brunetkę nieszpętną i doświadczoną, która z dziwną gorliwością przez lat blisko trzy dawała lekcje szesnastoletniemu i siedemnastoletniemu chłopcu, dopełnił swej edukacji na zjazdach młodzieży, na jarmarkach w Jarmolińcach i w Berdyczowie, tak że gdy doszedł do lat dwudziestu, był to młodzieniec skończony, rycerz przy zielonym stole, niezwyciężony przy butelce, na wyścigach czy konnych, czy wozowych niepokonany i w najgłówniejszym rzemiośle ówczasowej młodzieży tak biegły, że mógłby się być odplacić w wielu względach wzajemną lekcją dawniejszej swojej nauczycielce.

W tym czasie stracił matkę; siostra na pół roku przed jej śmiercią wyszła za mąż; został więc sam panem majątku i swojej woli. Ale gdy przyszło zapłacić posag, o który się szwagier stanowczo upomniął, i gdy się obliczył ze wszystkimi długami młodości, opamiętał się pan August i wówczas rozwinął się właściwy jego charakter.

W ten wir, w którym żył dotąd, wciągnął go nie naturalny popęd, nie gwałtowność namiętności, ale przykład młodzieży, wśród której wyrósł. Grał on tylko chętnie, bo zawsze lubił pieniądze, chociaż je rozrzucał, ale pił, bo inni pili; tracił i hulał, bo nie chciał się okazać niższym od współbraci; bałamucił się z mężatkami i wdowami, bo popisywanie się dzielnością tego rodzaju było wiecznym tematem rozmów, ile do nich czasu zostawiały karty, a pan August nie chciał milczeć tam, gdzie inni mówili, i starał się gorliwie, aby się miał także z czym pochwalić. Lecz w gruncie był to człowiek zimny, egoista i spekulant.

Te wady przy innym wychowaniu, przy gruntownej nauce, przy jakimściś ważniejszym zajęciu, które by mu pokazało wyższe cele, byłyby może wzięły inny kierunek, ale to życie, na którym przepędził pierwszą młodość, odpoetyzowało zupełnie jego duszę, a jego serce, jak śliwka węgierka, która przeszła przez wiele rąk, zmięte i zgniecione, straciło całkiem swą dziewiczą barwę. Łatwiej więc

niż kto inny, i już w dwudziestym pierwszym roku życia, przyszedł pan August do tego wielkiego rezultatu naszych czasów, że człowiek przez pieniądze tylko jest czymś, bez pieniędzy niczym.

Kłopoty gospodarstwa nie wystarczającego na wszystkie wydatki, utarczki z dłużnikami i ze szwagrem utwierdziły go w tej zasadzie. Już więc od tej pory postanowił zdobyć ten talizman, który otwiera wszystkie klamki i daje przystęp do każdego serca. Ale gdy się zastanowił nad swoim położeniem, gdy zimno i bezstronnie rozmierzył swoje zdolności, gdy zważył okoliczności, które go otaczały, postrzegł, że żadnym innym sposobem dokazać tego nie zdoła, jak przez bogate ożenienie. Zaciągnął się więc jednym rzutem i bez najmniejszego wahania się pod chorągiew tego batalionu myśliwców, którzy, wówczas i dziś, z zimną krwią i z coraz bardziej wydoskonaloną taktyką polują na bogate żony.

To raz przedsięwzięwszy, zapomniał o wszystkich szaleństwach młodości, jak Mieczysław zrobił się w mgnieniu oka starym, zmniejszał wydatki, zamknął się w domu, gospodarował, gromadził grosze, aby się cokolwiek otrząść z kłopotów i przygotować do wielkiej wyprawy na grubego zwierza. Diabełka się nie wyrzekł, raz, że miał naturalną żylkę do szulerstwa, po wtóre, że tym bardziej teraz pokochał pieniądze, łatwo i w wielkich kuszach nagle wpływające; a on grał szczęśliwie, zimno i zawsze prawie wygrywał.

Mimo tych wad, mimo zamiarów egoistycznych i niemoralnych, przyznać trzeba, że pan August był bardzo miłym i ujmującym człowiekiem. Powierzchnowość miał piękną, twarz przystojną, zwykle zimną, ale posłuszną jego woli i mogącą przybrać wyraz tkliwy i rozrzewniony; wzrok bystry, głos męski i dźwięczny. Ubiegał się zawsze starannie, włosy miał gęste blond, cokolwiek w rudą kolor przechodzące, ale przyczesał je biegle do twarzy i umiał im nadać pozór lwiej grzywy. Szczególniej miał rękę nadzwyczajnej piękności, którą produkował, gładząc często wąs, zwłaszcza wówczas, gdy kto do niego co mówił. Przy tym zdolności miał, jak powiedzieliśmy, wielkie, pamięć ogromną, rozsądek zdrowy i w obejściu się z ludźmi ten ton łatwy, godny i naturalny, do czego przyszedł w czasie intryg z dwoma damami wyższego tonu, do których serca piękny akcent francuski otworzył mu był łatwą drogę.

Jak wódz zamierzający ważną ekspedycję robi wszelkiego rodzaju przygotowania, tak i pan August nie tylko myślał o zewnętrznych środkach podobania się. Wszystek czas, który mu

zostawał od gospodarstwa i diabelka, obracał na czytanie i w przeciągu dwuletniego zamknięcia się w domu wiele skorzystał.

Gdy raz, ubrany z całą elegancją, na jaką Podole zdobyć się mogło, gładząc wąs średnim palcem pięknej swej ręki, stanął przed zwierciadłem dla wyegzaminowania się, czy może już rozwinąć chorągiew i uderzyć w trąby, przypomniał sobie, że nic nie widział oprócz Jarmoliniec i Berdyczowa. Upokorzony tą myślą i wiedząc, jak zupełnie innym okiem patrzą u nas, szczególnie kobiety, na człowieka wracającego zza granicy, postanowił i ten jeszcze powab przydać swojej osobie, i tak skompletować swe uzbrojenie do zaczepnego działania. Zebrawszy się więc z siłami, pojechał do Warszawy, stamtąd do Berlina, nad brzegi Renu, do Szwajcarii, zajrzał do Włoch i po roku wędrówki wrócił do domu w jesieni.

Kontent z siebie, zmierzyszy swe siły i postrzegłszy, że oszczędność, dobre urządzenia gospodarskie i szczęśliwa ciągle gra powiększyły znacznie jego fundusze i oczyściły go prawie z grzechów młodości, postanowił teź zimy rozpocząć łowy na serio i dlatego myślał udać się na kontrakty do Kijowa lub do Dubna, wiedząc, że to są właśnie miejsca, gdzie między innymi towarami wywożą się także i panny. Nimby czas ten stanowczy nadszedł, z daleka, z ogródka, od znajomych i nieznajomych wypytywał się: gdzie, w jakim gnieździe dorasta sarneczka godna strzału, jakie są zamiary i projekta rodziców, jaki ich charakter, jakie zatem drogi najkrócej i najpewniej doprowadzą do celu.

Wszystko to pan August robił niezmiernie ostrożnie, z największą cierpliwością, bo jako człowiek zimnego serca, nie unosił się nigdy, a jako biegły gracz, wiedział, że ten tylko wygrywa, kto umie wyczekać. Ta jedyna myśl, dla której wszystko poświęcił, którą ciągle w głowie swej piastował, tak zatwardziła i wysuszyła do reszty jego serce, że od tej chwili, kiedy ją powziął, żaden powab, żaden umizg kobiety nie robił na nim najmniejszego wrażenia.

Postanowił mieć bogatą żonę, ale czy ją będzie kochał, czy ją będzie szacował, czy będzie ładna, czy brzydka, rozumna czy głupia, o tym nigdy ani pomyślał. Obeznany z dawną ze wszystkimi manewrami strategii miłosnej, postanowił w potrzebie użyć ich jako środek, ale oraz odrzucić, dopiąwszy swego, jak odrzucał kartę, która już wygrała.

W takim usposobieniu wybierał się pan August do Dubna, gdy niespodziewany interes powołał go do Odessy. Odebrał on urzę-

dowe uwiadomienie, że mu ciotka umarła, po której został dom i kapitał umieszczony w komercyjnym banku odeskim.

Ciotka jego była za doktorem. Z tej okazji poróżniona z rodziną, która to uważała za ubliżenie, wyniosła się do Odessy, gdzie po kilkunastu latach najszcześniejszego pożycia owdowiała. Że była bezdzietna, że była kobieta dobra, nie pamiętając więc o przykrości, jaką jej głupia szlachecka pycha wyrządziła, umierając, mająteczek, który mąż zebrał i jej zapisał, przekazała dzieciom swej siostry.

Chociaż pan August nie spodziewał się, aby to było coś wielkiego, ale że od przybytku głowa nie boli, uzbroiwszy się więc plenipotecją siostry, wybrał się i pojechał. Nie tracąc nigdy z myśli jedyne go celu, dla którego był i egzystował na tym świecie, postanowił i z tej okoliczności korzystać i wszystko, co zbierze z sprzedaży ruchomości ciotki, z czego nie czuł się obowiązany zdawać rachunku siostrze, obrócić na dokompletowanie swojej garderoby. Właśnie więc ukończywszy interes i uprowadzawszy się we wszystko, czego potrzebował, powracał nazad, gdy przypadek, który się musi do wszystkiego wmieszać, przez złamanie sanek przyspieszył epokę tej ekspedycji, do której się lat tyle i tak sumiennie gotował.

II

Okolo godziny piątej wieczorem stał pan August w bramie austerii i palił fajkę, gdy wjechała sześciokonna kareta na saniach, a za nią jeszcze dwoje porządných sani z dworem i rzeczami. Gdy pierwszy powóz przesunął się mimo, postrzegł pan August dwie kobiety w karecie; a chociaż były okutane, zdawało mu się jednak, że jedna z nich była młodzianka i rumiana. Nie wiedział on, kto przyjechał, ale dosyć mu było widoku zamożności osób przybyłych i tej supozycji, że to była matka z córką i że córka była zapewne panna, aby głowa jego zaczęła pracować.

Usłużny Żydek ostrzegł lokaja, że pierwsza stacja była zajęta.

Posunęła się więc karetą dalej i obie panie, a za nimi służąca, wysiadły przy dalszych drzwiach austerii. Zaledwie weszły, w ten moment pan August, stojący we drzwiach swego pokoju, dowiedział się od ludzi, którzy na dalszych saniach siedzieli, że to była pani chorążyna Wolczyńska, powracająca z Odessy do domu.

Uradowany z tego zdarzenia dziękował w duszy swoim saniom, że się złamały, i zaczął już układać plan kampanii.

Pan chorąży mieszkał o pięć mil od pana Augusta, a zatem w potrzebie mógł być i sąsiadem. Był to człowiek skąpy i nie-dorzeczny, ale bogaty, bez długów i w ciągłym dorobku. Od dawna już pan August wyglądał powrotu panny Klary Wolczyńskiej z Odessy, gdzie dla edukacji bawiła ciągle lat kilka. W liczbie uprojektowanych partyj była więc i ona, i była na pierwszym miejscu, nie dla wdzięków, nie dla wychowania, o które się nie pytał, ale dlatego, że była jedynaczką, że Niedolipie były piękną rezydencją, że tę ogromną wieś okrażały jeszcze trzy inne wsie bogatym swym wieńcem i sytuację pana chorążego dosuwały do owego uroczego miliona, który z całym szeregiem zer swoich, jak kometa z ognistym ogonem, krążył ciągle po sferze jego głowy.

Gdy pan August z takimi myślami przechadzał się po pokoju i zbliżył się do drzwi bocznych, usłyszał te słowa srebrnym, czystym głosem wymówione:

– Ach mamó! jaki tu swąd, jaki krzyk od tych tam Żydów, jaka izba brzydka i ciasna! Jakże my tu będziemy nocować?

Szanse za mną! – powiedział sobie w duchu pan August i kazawszy Franciszkowi, przyrządzającemu do herbaty, przynieść jeszcze dwie filiżanki, wyszedł do sieni.

W tejże chwili wyszła i pani Wolczyńska i pytała się, czy nie ma lepszego pokoju. Żyd ruszał ramionami i ukazał na stojącego obok pana Augusta:

– Insze pokoje są, ale teraz zima, panowie nie jadą, na cóż mnie palić?

– Ale tu niepodobna nocować – rzekła pani Wolczyńska.

– Niech ja s n e pani powie temu panu – odpowiedział Żyd – to może on się pomienia, a może i n i. Abo ja wiem? A t a m t e pokój bardzo piękny!

Wtenczas pan August, zwracając się nagle, zbliżył się śmiało do chorążyny i rzekł:

– Pozwoli pani przypomnieć się sobie. Jestem August Molicki,

sąsiad państwa na Podolu i sąsiad przypadkowy tu, gdzie panie podobno niewygodny będziecie miały nocleg.

– Bardzom rada, że pana widzę, i cieszę się, że to pan jesteście naszym sąsiadem. Mamy stancję tak okropną, że jesteśmy z moją córką w największym ambarasie. Dalej jechać nie można i nocować tu także nie można. Doprawdy same nie wiemy, co robić.

– Pozwoli pani dać sobie dobrą radę?

– O, zmiłuj się pan! Będzie to prawdziwy dowód grzeczności sąsiedzkiej.

– Niech panie zajmą mój pokój – rzekł pan August. – Jest obszerny, ciepły i czysty.

– Prawdziwie nie wiem, jak podziękować panu. Ale gdzież się pan podziejiesz, bo tam doprawdy niepodobna.

– Czyż to warto, abyś pani o tym myślała? Przenocuję w sianach, gdziekolwiek. Przywykłem do niewygód i nie pieszczę się. – Co było kłamstwo wierutne, bo jako egoista lubił wygodki i gdyby nie panna Klara i nie milion, byłby już dawno zamknął się w swoim pokoju i nie okazałby najmniejszej domyślności serca.

– Więc panie przyjmują? – dodał.

– Musimy. Ale niech pan wierzy, że będziemy umiały cenić tę grzeczność – rzekła chorążyna i wyciągnęła do niego rękę, którą on z uszanowaniem pocałował.

– Jednak jeden warunek pozwoli pani sobie położyć – rzekł pan August najnaturalniej.

– Jakiż to?

– Nim panie zajmiecie ten pokój, rad bym, abyście byli w nim pierwsi moimi gośćmi. Przenosiny nie tak prędko się odbędą, samowar nie zaraz będzie gotów. U mnie herbata na stole, a panie z zimna.

– Serdecznie dziękujemy panu i w ten moment będziemy służyć – odpowiedziała chorążyna, czując, że należało się odplacić grzecznością za grzeczność i odmówić nie wypadało.

Potem skłoniła się panu Augustowi i weszła do pokoju. On zaś wrócił do siebie, zacierając ręce, i pomyślał w duchu: Knieja obrzucona!

Panna Klara, posłyszawszy dźwięczny i męski głos pana Augusta rozmawiającego z matką, zbliżyła się ku drzwiom. Przez szparkę drzwi niezupełnie przymkniętych widziała go, widziała dobrze i wysłuchiwała całej rozmowy.

Gdy matka weszła do pokoju, zastała córkę przed rozbitym lusterkim poprawiającą czepeczek podróżny, układającą kołnierzyk i spinającą cieśniej pasek szlafrocza. Szlafroczek ten, na szczęście, choć lekko podwatowany, był jednak nowiuteńki, z ładnej materii jedwabnej i zrobiony z całą elegancją odeską.

– Czy dobrze tak, mamó? – zapytała panna Klara i zapytała niepotrzebnie, bo w czymże byłoby jej niedobrze, kiedy miała lat osiemnaście; kiedy figurka jej, nie nadto wysoka, była giętka i wcięta; kiedy prześliczne formy ciała rysowały się przez lekkie fałdy miękkiego jedwabiu, kiedy oczy jej błękitne ocieniały się czarnymi rzęsami, ciemne włosy lśniły się na jasnym czole; kiedy jej noszek foremny wystawał w doskonałym rozmiarze nad pięknymi ustami, które umiały uśmiechać się rozumnie i filuternie, śmiać się czasem serdecznie, a zawsze odkrywały ząbki białe, równe i drobne.

– Dlaczegoż mię o to pytasz, Klaruniu?

– Pójdziemy przecież na herbatę do tego pana.

– Więc wiesz, że pójdziemy? – rzekła matka.

– Słyszałam wszystko. Widzi mama, jaki on grzeczny. Zaraz znać, że Podolanin. Mama pójdzie?

– A chcesz?

– Czemuż nie? W drodze! Nim się przeniesiemy, nim co, to nie wiedzieć kiedy będzie. Ale czepeczek nie bardzo zmięty?

– Nie – odpowiedziała matka.

I poszły. A panna Klara myślała o swoim czepeczku, czy się wyda, o szlafroczku, czy dobrze leży, czego wprzód nigdy nie było.

Żał się Boże! nie wiedziała o tym biedna panna Klara, że pan August nie zwróci uwagi ani na szlafroczek, ani na czepeczek i może ledwie spojrzy na twarzyczkę jej owalną i świeżą, na jej oczy, które umiały patrzeć całą duszą, na jej usta jak jagoda rumiane i na jej rączki jak śnieg białe. Bo pan August wie, że panna Klara jedynaczka i że ojciec jej ma blisko miliona.

Rozmowa szła wesoło o Podolu, o Odessie. Damy robiły delikatne wymówki panu Augustowi, że się nie starał z nimi poznać, wiedząc, że one tam mieszkały.

Potem mówiono o magazynach odeskich, z którymi pan August porównywał piękne składy towarów za granicą. Potem mówiono o operze odeskiej i znowu pan August miał zrzeczność wspomnieć o teatrze berlińskim, drezdeńskim i mediolańskim. Wszak-

że o tym wszystkim robił tylko lekką wzmiankę, jakby nie przywiązywał wielkiej wartości do tego, że był za granicą; mówił, że Podo-le piękne i bez bogatych magazynów, i bez pani Szreder-Devrian, że szczególnie teraz stanie się najpiękniejszą w świecie krainą.

Te wyrazy: „szczególniej teraz”, udało mu się wymówić wten-czas, gdy chorążyna dawała jakiś rozkaz Agatce, wymówił je więc zupełnie odmiennym akcentem, nadał im intonację, jak gdyby wprost wychodzącą z serca, i połączył z wejrzeniem przelotnym, niby nieznacznym, ale które nachyliło do ziemi piękne oczy panny Klary i śliczną twarz jej oblało rumieńcem.

Przeniesienie wkrótce skuteczniono.

Na wieczery był znowu pan August gościem u pani chorążyny i ledwie koło godziny dziesiątej rozeszli się na spoczynek. Gdy się żegnał z panną Klarą i całując jej białą rączkę, oddawał dobranoc, rzekła panienka z miłym uśmiechem:

– Ja z łaski pana będę miała noc bardzo dobrą, ale pan? O! prawdziwie żal mi, żem była tak wymyślną, że pan będziesz tak źle spał z mojej winy.

– Że wcale spać nie będę, to być bardzo może – odpowiedział cichszym głosem i ścisnął z lekka delikatne paluszki.

Gdy wyszedł, panna Klara oddała dobranoc matce, rozebrała się czym prędzej, położyła się i obróciwszy się do ściany, i zakrywszy oczy obiema rękami, dała wolny bieg myślom. Czuła ona, jak jej twarz płonęła pod gorącymi dłońmi; jak jej pulsa biły; jak łezka niewinna i poetyczna wymykała się spod zamkniętej powieki i zawięszała się na długich i ciemnych jej rzęsach.

Po pewnym przeciągu czasu, przyciskając bijące serce, które po raz pierwszy takim dziwnym sposobem stukalo w jej dziewiczym łonie, przypomniała sobie, że jeszcze nie zmówiła pacierza. Zaczęła więc modlitwę, ale ją krzyżowały inne obrazy, inne słowa, inne nadzieje. Ze trzy razy zaczynała *Ojciec nasz* i dokończyć go nie mogła. Chciała się więc przekonać, zmusić do uwagi, odłożyć na potem słodkie marzenia, ale jej przeszkadzał obraz pięknego młodzieńca, jego głos męski i ujmujący, jego maniery pełne grzeczności i naturalności. Tak walczyła z sobą długo i w tej walce, pacierza z rodzącym się głosem serca, usnęła.

Pan August wróciwszy do siebie i zaspokoivszy się, że sanie na rano będą gotowe, kazał sobie podać fajkę, położył się wygodnie i rozważał, jak ma dalej postępować. Łamał sobie głowę, jak ująć

matkę, która mu się zdawała kobietą rozumną, pełną uczuć szlachetnych i delikatnych, a szczególnie, jak przekonać lub zwieść skąpego ojca.

Tak układając plany ważnej wyprawy, którą miał przed sobą, licząc, ile będzie mógł otrzymać zaraz, ile przy najdłuższym życiu chorążego urośnie majątku, nie przeżegnawszy się, nie wspomniawszy nawet o pannie Klarze, z jakąś ogromną liczbą na ustach zasnął.

III

Nazajutrz jeszcze podróżne panie spały, gdy pan August, pomówiwszy z furmanem chorążyny i dawszy mu rubla, pojechał.

Panna Klara ubrała się daleko staranniej, niżby tego wymagała droga, i wyrzała do sieni w tej nadziei, że obaczy pana Augusta. Już jej błękitne oczy gotowe były podnieść się na miłą twarz młodzieńca z wyrazem przebaczenia, że im spać nie dał; już śliczne usteczka gotowe były wymówić słodkie „dobry dzień” i prawa rączka, obnażona z rękawiczki, chętnie dałaby się była ucałować, gdy wracająca z sieni Agatka objawiła, że ten pan dawno wyjechał.

Milcząc wypila panna Klara herbatę; milcząc siadła do karety i milcząc jechała cały czas do popasu.

Około godziny dwunastej pokazała się karczma w stepie, jedyne miejsce, gdzie można było odpocząć i konie popaść. Palnął furman z biczem, ruszył tęgim kłusem i w kilkanaście minut wjechał we wrota. Wsiadły panie. Żydek otworzył im drzwi pokoju, do którego weszły prędko, nie patrząc prawie przed siebie.

Jakże rozjaśniła się twarz panny Klary, gdy postrzegła, że pokój był czysty, starannie umieciony, wykadzony, że kanapa zaślana była pięknym angielskim dywanem, a na środku stał stolik nakryty cieniutkim obrusem i zastawiony na trzy osoby eleganckim fajanssem i szkłem najgustowniejszym. Zaledwie chorążyna i jej córka pozrzucały szuby i berlaczyki, zaledwie panna Klara spojrzawszy

na te przygotowania, domyśliła się wszystkiego, stanęła przy lusterku i ugładzała swe lśniące włosy, gdy wszedł Franciszek i przyniósł na srebrnej tacy parę filiżanek herbaty. Za nim wszedł i pan August i oddał im „dobry dzień”.

Wdzięczna za tę uwagę chorążyna grzecznie mu podziękowała, a twarz panny Klary jaśniała taką radością, oczy jej tak były wymowne, głos tak miękki, tak słodki, ściśnienie, choć szybkie, delikatne, ale tak nieumyślne, że inny młodzieniec na miejscu pana Augusta zapisałby tę chwilę do najszczęśliwszych w życiu, a pan August – pan August rachował.

Nie będziemy opisywać całej tej podróży. Dosyć powiedzieć, że się odbyła bez przypadku, że pan August przez swój rozsądek i powagę zyskał wielki szacunek chorążyny; przez udaną bojaźliwość, przez gotowość na każde jej skinienie, przez sposób opowiadania i wybór rzeczy opowiadanych, przez maniery i owe słówka wpółdosłyszane, wymawiane prędko, gdy się podawała zręczność, a w których umiał wyrazić to, czego w sercu nie było, zyskał zupełnie serce niewinnej, ale żywej i energicznej panienki. Już na drugim noclegu wyznała swej podusieczce, że go kocha, kocha tkliwie, namiętnie, na całe życie, i nazajutrz pan August wyczytał to w jej oczach.

Tak dojechali do Bałty. Radził bowiem pan August, żeby jechać traktem pocztowym, choć dalszym, bo każda inna droga w tych bezludnych stepach i zimą groziła nie tylko największymi niewygodami, ale i utratą życia. Nie potrzeba było dla panny Klary tak silnych argumentów, aby wybrała dalszą drogę i skłoniła do tego matkę, co było tym łatwiej, że chorążyna była delikatnego zdrowia i z natury bardzo bojaźliwa, a przy tym, kochając córkę nad życie, drżała o ten skarb tak drogi więcej jeszcze niż o siebie. Panna Klara zaś była tak szczęśliwa, żeby gotowa była jechać do Niedolipia nie tylko na Bałtę, ale nawet na Wiatkę, byle tylko z matką, którą także czciła jak bóstwo, byle z panem Augustem, który opamnował jej myśl i serce.

Szczęśliwemu wszystko pomaga. Kiedy kto w dobrym sztosie, jak mówią, gra w bilard, nawet omyłki zapędzają żółtą bilę do średniej bluzy. Tak się zdarzyło i panu Augustowi.

Gdy dojeżdżali do Bałty, zaczął śnieg padać, a przez noc upadł tak wielki, że konie brnęły w kolano i niepodobna było inaczej jechać jak stępą.

Stał nazajutrz pan August w oknie z panną Klarą i patrzył na ogromne zasy śniegu, które Żydki odrzucali.

– Jak my pojedziemy? – rzekła.

– Stępą, inaczej niepodobna – odpowiedział. A postrzegłszy, że chorążyna zajęta była jakąś dyspozycją w drugim kącie pokoju, dodał ciszej: – Czy pani to przykro, że będziemy jechać stępą i że podróż przeciągnie się dłużej?

– A długoż jeszcze droga nasza trwać będzie? – odpowiedziała, podnosząc nań oczy, w których widać było, jak chciała, żeby jak najdłużej.

– Ze trzy dni – odpowiedział pan August – a może i więcej, jeżeli jeszcze śnieg upadnie.

– O, gdyby upadł! – odpowiedziała i rumiana, jak róża, odeszła na bok.

Pan August pojechał przodem dla zrobienia przynajmniej śladu i dla pokazania, którędy się posuwać miała karetta chorążyny, ciężka i pakowna. Konie jego zapadały nieraz po brzuch w zaspach śniegu. Nie widać było ani mostków, ani nawet ich poręczy; słupy tylko werstowe sterczały i jak skazówka busoli, dawały kierunek furmanowi po tym białym i puszystym morzu.

Dochodziły do uszu pana Augusta częste krzyki: „ach! ach!” wychodzące z karety; a wkrótce, wychyliwszy się z sani na krzyk głośniejszy, postrzegł, że konie lejcowe chorążyny, wydobywając się ze śniegu i skacząc, splątały się i zaczęły wierzgać i szarpać się na bok. Wyskoczył więc natychmiast, podszedł z Franciszkiem, jak mógł, najprędzej i, chwyciwszy za cugle, pomógł dzielnie ludziom, którzy nadeszli, do odpłatania postronków i uspokojenia zbujających i przestraszonych koni. Potem zbliżywszy się do karety, rzekł:

– Niech panie się nie boją, teraz już pójdą.

– Ach, jak się biedna mama przestraszyła! Patrz pan – rzekła panna Klara.

W rzeczy samej chorążyna była blada i cała drżąca.

– Siadaj pan z nami – dodała najniewinniej. – Będzie nam weselej i rażniej. Mama tak się boi! Agatka pójdzie do pańskich sani.

Pani chorążyna milczała; Agatka wylazła z karety prędko, bo miała także swój planik, i krzyknęła umyślnie, ugrzązłszy w głębokim śniegu. Pan August kazał swemu furmanowi jechać z wolna

i uważnie; forysiovi chorążyny także dał stosowną naukę; pannę Agatę kazał Franciszkowi wziąć na ręce i zanieść do swoich sanek, a sam usiadł naprzeciw panny Klary, której oczy pełne szczęścia i której usta pełne uśmiechu wyrażały nieskończoną radość.

Tak przeszła reszta drogi wesoło na poufalej rozmowie, na opowiadaniach różnych przygód, na śmiechach i na żartach. Pan August już nie ustąpił swego miejsca pannie Agacie aż do rozstania się z chorążyną, za co figlarna dziewczyna i nie gniewała się wcale, leżąc sobie wygodnie na miękkich jego poduszkach, które jej Franciszek jeszcze staranniej, jak dla swego pana, uścielał.

Pani chorążyna polubiła szczerze pana Augusta, jego ułożenie, jego rozmowę. Pan August, choć niezbyt wygodnie siedział na wąskim dosyć siedzeniu na przodzie i w sąsiedztwie pudełka z czepkami i kapeluszami, ale że szedł wielkim krokiem do celu, przyjmował obojętnie szturchańce twardego sąsiada, jak wódz mający wszystkie szanse za sobą siedzi spokojnie na sękowatej kłodzie, spodziewając się, że po otrzymanym zwycięstwie spocznie pod aksamitnym baldachimem.

A panna Klara? – O! panna Klara była szczęśliwa, była rozmarzona i nieraz, gdy karetą wjeżdżała we wrota karczny na popas lub na nocleg, wyrывało się jej to pełne znaczenia zapytanie: „czy już?”

Przedostatniego wieczora zastali austerię, do której dążyli na noc, pełną. Jakiś dwór wielki zajął wszystkie kąty, tak że niepodobna było zmieścić się ani państwu, ani ludziom, ani koniom.

Już była godzina siódma i niebo zaciągnięte chmurami. Ale że droga w tym miejscu była doskonała i od śniegu widna, radzili ludzie, aby jechać dalej. O półtóry mili miała być wielka austeria, gdzie upewniali, że się znajdą wszystkie wygodny. Nie było co robić. Zdecydowała się z wielkim strachem pani chorążyna. Pan August przez delikatność zaproponował, że dla bezpieczeństwa pojedzie naprzód w swoich saniach. Jakoż pomieniał się na miejsca, z wielkim nieukontentowaniem panny Agaty. Wkrótce zrobiło się jeszcze ciemniej i ledwie ujechali pół milki, stanęli przed ogromnym lasem.

– Karetą czegoś się zatrzymała – zawołał Franciszek. Pan August wysiadł i pobiegł czym prędzej dowiedzieć się o przyczynę.

– Patrz pan, co to za ludzie, nie powiedzieli nic, że tu taki okropny las – rzekła chorążyna, trzymając córkę za rękę.

– Siądź pan na swoim miejscu – dodała panna Klara – mama drży jak liść.

– Pewny jestem, że ta droga bezpieczna, ale jeżeli panie mi ufacie, będzie mi miło im towarzyszyć.

– Ma pan broń? – zapytała panna Klara.

– Mam pistolety – odpowiedział z uśmiechem – niewielkie i nie bardzo straszne i jeżeli panie nie będą się bały mieć w powozie nabitej broni...

– Każ pan przynieść – zawołała panna Klara stanowczo.

Pobiegł Franciszek, przyniósł pistolety, które pan August położył za sobą w kąciку. Panna Agata klusem pobiegła do sani, gdzie ją Franciszek przyjął uprzejmie, a pan August, siadłszy na dawnym miejscu, zasunął się, jak mógł, najdalej.

Wjechali w las. Ciemno było zupełnie. Za każdym pochwianiem się karety chorążyna wydawała krzyk i chwytiała rękę pana Augusta, który ją uspokajał. Jechali noga za nogą i wkrótce nastąpiło zupełne milczenie. Chorążyna patrzyła w swoje okno, a panna Klara w swoje. Nieznacznie ręka pana Augusta dotknęła z lekka salopki i spotkała się z drżącymi dłońmi rozkochanej panienki.

– Ach, jak tu straszno! Patrz pan! Zdaje się, jakby się coś przesuwowało pod lasem – rzekła panna Klara i nachyliła się jeszcze bardziej do zamkniętego okna karety.

– To się pani tak zdaje – odpowiedział pan August i nachylił się także, i tulił do ust dłonie biednej panny Klary, która w upojeniu tak nowego dla siebie szczęścia jeszcze mocniej się nachyliła, że się oddech ich pomieszał i prawie twarz z twarzą zetknęła.

– Ach, żeby się ten las skończył! – rzekła głośniejszym głosem panna Klara, odsuwając się w głąb karety, i rumieniec wstydu, którego nikt nie widział, okrył jej lice, bo kłamała; bo nie życzyła sobie końca tego lasu; bo tuliła w swych rękach rękę pana Augusta, który spokojnie odpowiadał na jej pełne czucia uściski zimnym uściśnieniem i ręka jego nie drżała, serce nie rozrywało piersi.

Niegodziwiec! on nie był szczęśliwym w tej czarownej chwili, bo nie miał czasu, bo rachował.

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

